Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 47.** Leszno, dnia 27. Maja 1837.



Mielcarzewicz rysował

Leszek biały w Gąsawie.

Nieszczęsny podział przez Krzywoustego uczyniony, rozdrobiwszy siły narodu, ustawne a coraz cięższe na Polskę ściągał klęski. Rozrodzeni a między sobą niezgodni xiążęta, nie mogli się opierać Rusi, Litwie, Tatarom i Prusakom, których wewnętrzne zaburzenia kraju tém bardziéj ośmielały. Brat Konrada, Leszek 5ty, odziedziczył tron po ojcu Kazimierzu Sprawiedliwym. Młodość tego xiążęcia (niemiał bowiem jak lat 7) i rządy państwa, powierzone zostały matce Helenie. Położenie ówczesnego panującego, silniéjszéj wymagało ręki do ujęcia wodzów rządu; łatwo więc uczuć się dała słaba powaga tronu w rosterkach możniéjszych panów, którzy wyłącznie wpływ swój, na umysł królowéj opiekunki wywierać chcieli. Pojął łatwość dopięcia dumnych

zamiarów swoich, stryj Leszka, Mieczysław stary, xiążę wielkopolskie, pod pozorem powściągnienia szerzącéj się możniéjszych zuchwałości, a tém samém zabezpieczenia tronu synowcowi, potrafił łatwowierną nakłonić królowę, do odstąpienia mu korony. Wkrótce uznała królowa, atoli po niewczasie, chytrość Mieczysława. Wszakże gwałtowność rządów, na nowo zniszczyła dumnego starca zabiegi. Odzyskał, ale na krótko, Leszek tron ojcowski; albowiem nienawiść Heleny dla Mikołaja wojewody i przejście tegoż na stronę wielkopolskiego xięcia, utorowało znowu ostatniemu drogę do upragnionego berła. Niedługo jednakże wydartą cieszył się Mieczysław koroną: umarł (roku 1203) a berło ofiarowano synowi jego Łaskonogiemu; ponieważ Leszek niechciał przyjąć berła pod warunkiem oddalenia od siebie Goworka, wojewody sandomierskiego, przeciw któremu przemożny i dumny Mikołaj, nie przebłaganą nienawiścią pałał. Trzechletnie Laskonogiego rządy, rozsądkiem i umiarkowaniem nacechowane, rokowały mu długie i pomyślne panowanie; lecz chciwość, którą po ojcu odziedziczył, przywróciła tron prawemu panu (w roku 1206).

Obrócił *) wkrótce Leszek starania swoje do urządzenia Pomeranii i starostą jéj mianował Swiętopełka (w roku 1207). Wykonał nowy rządca przysięgę Leszkowi na wierność, z obowiązkiem płacenia tysiąca grzywien srebra do skarbu królewskiego. Wysoka dostojność, a późniéj lat kilka, zaręczenie córki swojéj Heliady Władysławowi Odoniczowi; któremu stryj Laskonogi, po ustąpieniu swoim z tronu, należne wydarł włości; wsparcie udzielone zięciowi, a wreszcie opanowanie Nakła, zamku z ziemią okoliczną, podniosły Swiętopełka dumę. Zażądał xiążęcego tytułu: a gdy Leszek odwlekał uskutecznienie chęci potężnego starosty, wypowiedział tenże zaprzysiężone posłuszeństwo, nie płacąc należnej summy. Widząc grożące niebezpieczeństwo, zwołał Leszek zjazd do Gąsawy, na dzień Śgo Marcina, pod pozorem niby załatwienia sporów, między Władysławem Laskonogim a synowcem Odoniczem zaszłych. Zaproszeni xiążęta Laskonogi Konrad i Henryk Brodaty, a dla niepomiarkowania zasadzki, wezwani do rady Swiętopełk z Odoniczem. Chciał w rzeczy saméj Leszek odzyskać Nakło, i schwytaniem bezbronnego Pomorczyka dalszym zabiedz nadużyciom. Nie uszły bacznemu oku nieostrożne Leszka zamiary. Porozumiawszy się z Odoniczem, zwlekał przybycie swoje Swiętopełk przez trzy dni, a uwiadomiony przez szpiegów, napadł miasto właśnie, gdy Leszek z Henrykiem do łaźni się udali, i niespodziewających się zdrady, w pień wyciąć kazawszy, Leszka z Henrykiem szukać rozkazał. Znaleziono ostatniego w kąpieli; a gdy mocno zranionego dworzanin własném zasłaniał ciałem, dzikie żołdactwo, rozsiekawszy sługę, rozumiało, że z nim razem i pana zabito. Tym sposobem, lubo mocno zraniony, uniknął jednakże Henryk śmierci. Leszek zaś posłyszawszy o zdradzie, nagi prawie podanego dosiadł konia, i z kilku wiernymi uciekać począł. Wysłani w pogoń Swiętopełka siepacze, dobiegli go na polu wsi Marcinkowo górne, i tam po mężnéj obronie śmierć zadali.

Dotąd okoliczny wieśniak pokazuje miéjsce, gdzie miał Leszek zginąć: a lubo czas zniszczył na pamiątkę może posadzone drzewa, gdzie krew zamordowanego sączyła monarchy, podanie przecież w ustach gminu *) zawsze się utrzymuje i jest jedynym pomnikiem, Leszka pamiątce poświęconym; nie znalazł albowiem dotąd pobożnéj ręki, którаby mu choć krzyż skromny wystawiła w miéjscu, gdzie poległ. A. G.

*) Naruszewicz.

*) Nawet jedno jeziórko zachowało do naszych czasów imię Pełek, gdyż kawalerya Swiętopełka w niém konie poić miała.

Ruiny klasztoru w Kałuskach, w obwodzie stanisławowskim, w Galicyi.

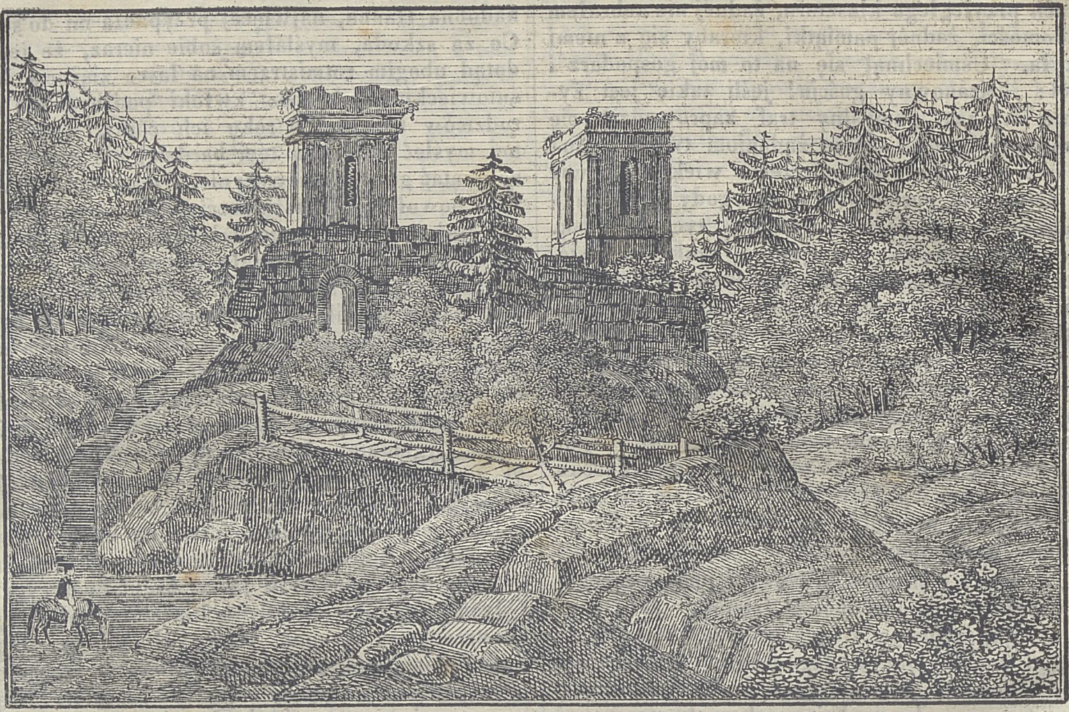
„Podróżując w obwodzie stanisławowskim, mówi jeden z naszych badaczy rzeczy krajowych, dojechałem nad wieczorem do rozwalin kałuskiego klasztoru. Na wyniosłém wzgórzu stały jeszcze dwie wieże, na pół obalone; wprost za jedną zachodzące słońce, rozrzucało złote promienie. Świerki i jodły posępną zielonością okryły okoliczne wąwozy, a w odległości góra krzakami porosła, przebijając się między drzewami, zamykała widnokrąg. Gruzy i odłamy rozbitych murów klasztornych, zaległy pochyłość wzgórza i daleko potoczyły się w dolinę. Nikogo niewidziałem w około siebie, ktoby ciekawość moją zaspokoił. Przewodnik mój wiedział tylko, iż to są szczątki klasztoru, zniszczonego niegdyś podczas napadu Tatarów. Oddalając się z tamtąd, aby poszukać jakiéj wiéjskiéj zagrody, gdziebym mógł przenocować i o świcie zapuścić się w przyległe góry, postrzegłem dróżynę prowadzącą do lasku. Poszedłem nią, a za zasłoną drzew, ujrzałem niewielką, ale bardzo porządną osadę. Skromny i czysto utrzymywany domek wiéjski, z obszernym owocowym ogrodem, i kilka chat wiéjskich, dobre zabudowania gospodarskie, łąka przerznięta strumieniem, przedstawiły mi ustronie, o którém nie raz marzę, jako o pożądanym przytułku na resztę dni moich. Właściciel téj osady, w téj właśnie chwili wracał z pola; przywitał mnie uprzejmie, i zaprosił do swego domu. Ludzie szczerego i otwartego serca, prędko zabiorą znajomość; za godzinę już eśmy byli jak starzy przyjaciele.

„Co za szkoda!“ rzekłem, gdyśmy usiedli na ławce przed domem, „że o tych wspaniałych zwa-

liskach przyległego klasztoru, żadnéj nie zebrałem wiadomości, żadnéj pamiątki, któraby się z niemi łączyła. Uśmiechnął się na to mój gospodarz i rzekł: „Szanowny gościu! jeśli takie jest życzenie wasze, pomyślny traf zaprowadził cię do mojéj zagrody. Może żądaniom twoim zadosyć uczynię. Już od półtrzecia wieku, ojcowie moi dzierżą tę posiadłość, a przygody mego naddziada ściśle się łączą z historyą tych zwalisk. Jeśli chcesz dzień jutrzejszy u mnie zabawić, przeczytasz naszą starą księgę rodzinną, którą od dwóchset lat zachowujemy jako najświętszą pamiątkę. W niéj zapisano prostemi słowy urodzenie każdego dziecięcia naszéj rodziny, jego los dalszy, małżeństwo i zgon, a na jéj czele zapisana jest na wieczną pamiątkę, przygoda naszego naddziada, pierwszego dziedzica téj wioski. Spodziewam się, że chociaż po prostu, po staroświecku skreślona, zająć was potrafi.“ Przyjąłem tak miłe zaprosiny, a nazajutrz wynotowałem z księgi dziedzica następujące zdarzenie:

„Na cześć i chwałę Stwórcy i pana naszego, dla wiecznéj pamiątki moich dziatek. Ja Bożywój Ostoja, zapisuję w téj księdze krótką treść przygód moich i oczywistego dowodu Opatrzności Bożéj nademną; polecam zarazem wszystkim moim następcom, aby tę księgę chowali wiernie, i w niéj zapisywali wkrótce to wszystko, co im się ważnego w życiu przytrafi. Byłem młodym chłopakiem i szóstym synem niebogatéj rodziny. Mój dobry ojciec nauczył mnie czytać, pisać, rachować; wpoił we mnie bojaźń Boga, uszanowanie i posłuszeństwo dla starszych; a gdym już rok dwudziesty kończył, dał mi konia, kilka talarów, jakie takie oporządzenie, błogosławieństwo na drogę i wyprawił mnie na dwór xięcia Wiśniowieckiego, abym zasługując się temu możnemu panu, wyszedł na człowieka i na starość miał kawał chleba. Podobałem się xięciu, byłem zwinny, usłużny, pilny i niespełna w czterech latach zostałem rotmistrzem jednéj z chorągwi pancernéj, które Xiążę Jegomość utrzymywał własnym kosztem. Często tedy miewaliśmy rozprawy z Tatarami, którzy zagony swoje zapuszczali pod sam Lwów i daléj jeszcze. Zdarzyło się przecię, że blisko przez rok było jako tako spokojnie, wtedy chorągiew nasza stanęła na zimowisko w obszernych włościach xięcia. Niedaleko z tamtąd w dziedzicznych dobrach Zasławice, mieszkał pan cześnik ziemi sanockiéj. Ludzki, wesoły, chętnie przyjmował gości w domu swoim, i nieraz ochocza młodzież szlachecka z chorągwi naszéj, kulikiem zajeżdżała do niego. Kilkoro miał dzieci: z nich druga córka Hanna, od młodości saméj wolą rodziców do zakonu przeznaczona. Gdy inne dziewczęta wesoło tańczyły, Hanna w ciemném i skromném ustroniu siedziała przy matce i czasem tylko nieśmiało spojrzała na ochoczą młodzież. Czyli takie było zrządzenie Boże, czyli, że zakazany owoc najlepiéj się podoba człowiekowi, nadobna Hanna, najwięcéj przypadła mi do serca. Co za szkoda, myślałem sobie nieraz, że jestem dotąd ubogim rotmistrzem na łasce xiążęcia Wiśniowieckiego, bo bez zwłoki padłbym do nóg rodziców i prosił o rękę ich córki. Ale cóż? ani myśleć o tém, a tém bardziéj nie godziło się zaprzątać głowy dziewczynie, i odrywać od świętego powołania; nasza uczciwość i prostota, którą daj Boże, abyście moje dziadki i wnuki na długie zachowali lata, kazała mi głęboko ukrywać to, com czuł w sercu. Widziałem tylko, że biedna Hanna płoniła się, ilekroć spotkały się nasze spojrzenia, że wzdychała niekiedy. Niewiem czylibym był dotrwał w postanowieniu, gdybym nie musiał wyruszyć z całą moją rotą pod Lwów, gdzie nasz xiążę na czele orszaku miał powitać króla Zygmunta, chcącego to miasto odwiedzić. W 5 miesięcy potém, niespodziany napad Tatarów, rozpostarł trwogę po całéj Rusi czerwonéj. Sam xiążę ruszył naprzeciwko nim, na czele swoich żołnierzy. Spieszyliśmy przecie odwrót bezbożnéj tłuszczy i pędzonych w jassyr brańców odzyskać. Gdyśmy już byli niedaleko klasztoru kałuskiego, spostrzegamy okropną łunę; zbiegli wieśniacy uwiadomiają nas, że oddział Tatarów wracając z ziemi Sanockiéj, téj nocy napadł na klasztór. Xiążę puszcza się w pogoń i dopędza napastników. Na czele chorągwi mojéj rzucam się na nieprzyjaciela; zdaje się, iż ręka Boża prowadziła me kroki. Uderzam na Tatarzyna unoszącego na rumaku omdlałą dziewczynę; ścielę go trupem u nóg moich, podnoszę tę, którą zachowałem od niewoli, sromoty, srozszéj nad śmierć samą. O Boże! była to Hanna z Zasławic. Natenczas widząc sprawdzające się słowa, iż co Bóg złączyć postanowił, tego ludzie nie rozłączą; padłem do nóg xięcia pana, wyznałem moją miłość, prosząc o wstawienie się i wsparcie. Hanna wolną jeszcze była od ślubów zakonnych, porwano ją z domu rodzicielskiego.

Państwo Zasławiccy przychylili się do prośb xięcia; dostałem od niego obszerną, lecz spustoszoną włość na dziedzictwo. Zabudowałem ją i podźwignąłem. Od tego czasu żyłem szczęśliwie z moją wierną i dobrą Hanną, a kończąc tę historyą młodości mojéj, życzę wam kochane dziadki, abyście doznawali zawsze takiéj nad wami opieki Opatrzności, jakiéj ja doznałem. Dziad mój, rzekł do mnie mój gospodarz, gdym mu oddawał jego rodzinną księgę, dzieląc się z braćmi ojczystym majątkiem, zbudował tę osadę, w któréj teraz mieszkamy; tém ona milsza jest dla nas, że leży prawie pod samemi murami klasztoru, niemal w tém samém miéjscu, gdzie przed wiekami nasz naddziad, uratował swoją ulubioną Hannę.



Ruiny klasztoru w Kałuskach.

Konfucyusz.

Z pomiędzy rodzajów chwały, ten jest bezwątpienia najchlubniéjszy, co się zasadza na własnéj wartości, na pożytku współczesnych i wdzięczności przyszłych pokoleń. Niknie z czasem blask próżnéj sławy, a ten tylko do rzetelnéj ma prawo, który nie będąc nic winien ślepemu losowi, nabył ją przez cnotę, a nabytéj używał na uszczęśliwienie drugich.

Taki rodzaj chwały posiada Konfucyusz, a to ją bardziéj jeszcze powiększa, iż będąc prawodawcą ciemnego narodu, nieużywał żadnych nadzwyczajnych sposobów dla poparcia zdań swoich. Walcząc z przesądami, nie używał podstępu do pokonania obłudy, ale jako bohater, w otwartym boju uderzał na przeciwnika. Nie radził się tajemniczéj Egeryi jak Numa, nie obcował z Jowiszem jak Minos, nie zstępował do piekieł jak Pytagoras; nauczał i ogłaszał prawdy ludziom jak człowiek. Europa nie miała nigdy dla żadnego z swoich mędrców tyle uszanowania, sama nawet starożytna Grecya dla wyroków Apollina delfickiego nie okazywała tyle czci, ile Chińczycy mają po dziś dzień dla Konfucyusza. Oni go nazywają wytworem rodzaju ludzkiego, szczytem świętości, wzorem i nauczycielem królów. Zaszczyty wielkie i świetne! Lecz możeż co wyrównać ostatniemu? Nauczyciel królów, jest twórcą losu narodów. Wiedział dobrze o tém Konfucyusz, iż robiąc cnotliwymi rządzców, czynił szczęśliwymi rządzonych; i kiedy Chińczyk przejęty wdzięcznością na wspomnienie cesarzów swych King-Chiacti, Teit-Su, Yun-Fo dziękuje niebu, cienie mędrca się cieszą, że on na ukształcenie ich wpływał.

Rok 551 przed n. Chr. był rokiem urodzenia Konfucyusza. Wiek to był obfity w ludzi sławnych i wielkie odmiany. Cyrus na zwaliskach assyryjskiéj monarchii ogromne Persów państwo założył. Nabuhodonozor, przedostatni z królów Babilonu, zdobił pyszne to miasto dla przyszłego zwycięzcy. Ateny i Rzym stały się wolnemi, a sława greckich mędrców po całym rozeszła się świecie. Chiny w tym samym czasie wydały Konfucyusza. Miasteczko nieznakomite w prowincyi Lu, zwaném dzisiaj prowincyą Chan-tong, było ojczyzną tego prawodawcy i mędrca. W pierwszych zaraz latach spostrzegano w nim szczęśliwe skłonności. Znamiona wczesne talentów zawodzą częstokroć nadzieje w swych dzieciach rodziców; Konfucyusz miane o nim przewyższył; zabawy jego w dzieciństwie, dojrzałemu były właściwe wiekowi. W 15. roku życia swego zaczął czytać dawnych chińskich pisarzów: on pierwszy ośmielił się wybór pomiędzy nimi uczynić, i z ksiąg tajemnic, które gmin częstokroć szanuje

dla ich nierozumiałości, wybrał dzieła, służące dotąd rodakom jego za prawidła i wzory. Jakoż wiek jego słusznie można uważać za epokę moralnego odrodzenia się narodu i jego pewniejszych dziejów, które równie jak i każdego ludu, w bajecznych swoich początkach, noszą cechę niepewności; z tą tylko różnicą, iż inne ludy chciały swych przodków spokrewnić z bogami, a Chińczyk nieznający pomiaru czasu, chlubi się niepojętą dawnością swych kronik, i ich epoki tysiącami wieków oznacza.

Dawni mędrcy chińscy kryli się w ustroniu: poglądali oni na cnotę, jak na dobro ich własne, niechcąc, lub nie śmiejąc dzielić go z innymi, w mniemaniu, iż obcowanie ze złymi było przeciwne ich godności, i na ich unikaniu zakładali chwałę. Konfucyusz inne o cnocie miał zdanie; daleki od krycia się z nią w ustroniu, płonący szlachetniejszym ogniem, czuł, że natchnienia mądrości i przykłady, które dać może, były długiem człowieka żyjącego dla dobra innych, a tém więcéj mędrca. Wyniesiony na pierwsze godności w rozmaitych królestwach, sprawował powierzone sobie urzędy dopóty, dopóki mógł być na nich użytecznym swym ziomkom; składał je natychmiast, gdy z nich nie mógł swoich dopiąć szlachetnych zamiarów. Rządzca królestwa Lou, ceniąc wielkie jego przymioty i zdatności, wezwał go do boku swego, a co tylko objął Konfucyusz powierzony sobie urząd, uczuł naród, że wodze rządu w ręku były mędrca. Trzy miesiące, pod stérem cnotliwego ministra, wystarczały do odrodzenia się narodu. Lecz nagła ta zmiana zatrwożyła postronne mocarstwa, chciwe zawsze korzystać z nieładu sąsiada. Użyto środków do obłąkania słabego monarchy; a czego nie mogły na nim duma możnych, przewrotność złośliwych, dokazały podniety płci, czarującéj wdziękami. Konfucyusz, składając urząd ministra, doświadczył losu cnotliwych, przymuszonych częstokroć rzucać swój naród dla tego, iż go oświeconym i szczęśliwym widzieć pragnęli. Zdolność i odwaga być użytecznym, są występkiem w oczach nikczemników. Opuścił ojczyznę, a przyciśniony wiekiem, opuszczony od przyjaciół, błąkał się po obcéj ziemi, nad wielkość duszy innéj pomocy nie mając. „Jestem," mówił, „przyciśniony ubóstwem, woda jest moim napojem, i ledwo grubéj strawy dostać mogę na pokarm. Jeśli chcę wypocząć, ręka złożona pod głowę, służy mi za poduszkę. Jednak, w tém położeniu, czuję pewien rodzaj rozkoszy: przykrość i ucisk słodkiemi są dla cnoty. Co mi po znaczeniu, które bogaci i możni zakładają na dostojeństwach i skarbach! Dostatki i godności podobne są w oczach moich do mgły lekkiéj, którą wiatr pędzi i po powietrzu rozprasza!"

Przeciwności te nie zachwiały jednakże umysłu Konfucyusza, owszem gorliwość o dobro drugich rosła w nim, w miarę powiększających



Konfucyusz.

się cierpień; samego nawet nieszczęścia umiał on użyć na dobro współbraci. W tułactwie swojém napisał sławne swe księgi, służące równie za naukę królom, jako i ludom. Z pomiędzy 30000 jego uczniów, 500 po różnych krajach pierwsze z zaszczytem sprawując urzędy, rozszerzali mistrza swego naukę i sławę. 72 stało się znakomitszymi przez swe światło i prace, a 10 do téj przyszło doskonałości w różnym nauk rodzaju, iż dla większego uczczenia dano im nazwisko „dziesięciu filozofów." Pomiędzy zwolennikami swymi zrobił Konfucyusz 4 podziały: pierwszy zajmował doskonalenie umysłu i serca; drugi kształcenie języka i prawidła wymowy; do trzeciego należała wiadomość polityki i rządu: czwarty był poświęcony nauce obyczajów, któréj doskonalił przepisy.

Nie mniéj szczęśliwy w prywatném swém życiu Konfucyusz, powrócił nareszcie do ojczyzny, aby tam dni swe zakończyć; zmarły dopiero odebrał zaszczyty w kraju, który niegdyś żywemu przytulenia odmówił. Uczniowie

jego wdziali po nim żałobę, a naród, prawie cały, powszechnym jéj odpowiadał smutkiem, chcąc łzami swemi zmyć niewdzięczność, okazaną za życia dobroczyńcy swemu. Kolos wspaniały wniósł się na jego pamiątkę, i uczynił świętém to miejsce, na którém był wystawiony. Największym jest zaszczytem w Chinach pozyskać imię uczonego, a między uczonymi największą jest chlubą nosić nazwę: ucznia Konfucyusza. Szczęśliwi jego potomkowie mają prawo do pierwszych w kraju dostojeństw, i tego przywileju nie wydarł im ani czas, ani żadne w kraju odmiany.

Konfucyusz, zajęty wykładami starożytnych pisarzy narodu, bardzo mało, jak sam wyraża, napisał dzieł własnych; i bądź, przez skromność, bądź dla zjednania większéj dla nich powagi w kraju, gdzie szczególniéj to szanowaném, co jest okrytém pyłem starożytności, oświadczał, iż jego dzieła były tylko wypisami z dawniejszych. Uczniowie jego użyli téjże skromności, czyli raczéj sposobu uwiecznienia pism własnych, wydając je pod mistrza imieniem. Czworo ksiąg, które przyznają Konfucyuszowi, winniśmy uczniom jego, tak jak Platonowi i Xenofontowi dzieła Sokratesa. Pierwsza z nich mająca napis: Ta-his t. j.: wielka nauka, zawiera w sobie prawidła doskonalenia siebie i drugich, mówi o powinnościach ludu, a szczególniéj królów, i dlatego słusznie ich księgą nazwana. Konfucyusz nieposiadając żadnéj władzy, niemógł być prawodawcą narodu, ale przez swój geniusz, stał się prawodawcą królów. Druga księga ma napis: Chum-Jouny, to jest: środek cnoty. „Cnota, mówi mędrzec chiński, położona jest w środku między dwoma ostatecznościami. Ten, co kres przeszedł, nie różni się od tego, co go nie doszedł.“ Trzecia księga nazwana Lan-gya, zawiera rozmowy, powieści, czyny mędrca i jego uczniów sławniejszych. Czwarta, wydaną została w 100 lat po śmierci Konfucyusza przez Mencyusza, i zawiera prawidła obyczajów, celniejszych obrządków wykład, w sposobie rozmów. Trzy pierwsze jéj części przełożył na łacinę X. Couplet, a X. Noel, missyonarz, z całego dzieła porobił wyjątki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O Kazimierzu Brodzińskim i jego pismach słów kilka.

(Ciąg dalszy.)

Od pierwszéj chwili poezye jego podobały się bardzo. Wielu niemogło sobie zdać sprawy, dlaczego? Ale wszystkich one jakimś nowym, dotąd całkiem nieznanym wdziękiem czarowały. Jak kilka promieni słońca, kiedy są zręcznie zkupione w jedne soczewki ognisko, ogień wygrzeją; tak poezye Brodzińskiego, w każdym, co je czuć umiał, tysiąc nowych wywabiały uczuć; uczuć, których w książce nie było, tak jak w soczewce ognia niema, a które jednak, jak czarodziéjską laską, poezyą Brodzińskiego z grobu pamięci naszéj wywołanemi były. Ledwie się ki ka poezyi Brodzińskiego przeczytało, mimowolnie trzeba było książkę złożyć, i puścić wolny bieg własnéj fantazyi. Dziwnie ładne obrazy stanęły przed zdumaném okiem. Raźne chłopaki w sutych karazyach, suną się żwawo i biją hołubce, muzyka wiejska tnie tańce od ucha, brzęczą do taktu stalowe podkówki, a Halka żwawa z swym miłym na przodzie, wabi do siebie mimowolnie oczy. Ilekroć widziało się obrazy takie, i te krakowskie Halki z ich śmiałemi oczyma, z ich ładnie posznurowanemi gorsecikami, z ich modrawą bielizną; a nigdy nam to niestanęło tak uroczo przed okiem, jak po przeczytaniu Brodzińskiego. Dla czego? bo tylko poezya jest ową laską cudotwórczą Hermesa, co wszystko w złoto zamienić zdoła; bo tylko poeta zdoła najpospolitsze przedmioty z codziennego życia wyrwać, i w poezyi, jak w morzu gorejącego złota, je zamaczać, i że wyciągnięte, biją nowym, nieznanym dotąd blaskiem. Czemuż niestety w Polsce, w kraju tak silnie poezyą czującym, nikt przed Brodzińskim ani pomyślał naszą własność tak przyozdabiać? Czegoby w tym zawodzie ów tak męzki zapał, ów styl tak atletyczny Trembeckiego, owa rzewna prostota, tkliwa naiwność Karpińskiego, niebyły dokazały! Nudzono nas Damonami, Filidami, francuzkiemi kabałami dworu, niemieckiemi pajacami, czego u nas nikt nie znał, i nikt bez kommentarzy nie rozumiał. W całéj massie poezyi naszéj jedne tylko Roxolanki i kilka fraszek Jana Kochanowskiego, zostawiły lekki ślad takiéj zbawiennéj dążności do uświęcenia narodowych przedmiotów.

Gdyby Brodziński nie był więcéj zrobił, tylko ów pierwszy krok do narodowéj poezyi, jużby był wielkim pisarzem; musiałby zapewne pierwszy okres jéj dziejów oznaczyć: poezya ludu od pieśni „śmierć się wije po płotu“ etc. do Sępa Szarzyńskiego; okres drugi, poezya cudzoziemsko-polskawa od Sępa Szarzyńskiego do K. Brodzińskiego; okres trzeci: poezya polska i t. d.

Może tu ktoś zarzuci: dla czegoż téj tak wielkiéj zasługi Brodzińskiego nikt w Polsce niewysłowił? Wszak o tém nie było ani wzmianki w żadném piśmie czasowém, począwszy od pana Bentkowskiego, aż do Much i Mrówek. Odpowiedź łatwa: u nas, mówiłem, już żadnéj krytyki niebyło. Lelewel niemógł o wszystkiém myśleć. Któż był ów krytyk, co nas przez swe publicznie wyjawione zdania znawcze o naszéj literaturze pięknéj czegobądź nauczył? Chwalić umieli się wszyscy wzajemnie, chwalić i rozdawać sobie tytuły zagraniczne, jak grafostwa na księżycu. Ten był polskim Teokrytem, ów Boalem i t. p. Od roku 1816, czasu, w którym się nasze pisma peryodyczne pokazały, nie było

w żadném ani jednéj literackiéj recenzyi poczciwéj; recenzyi, z któréjby się czegoś nauczyć można było; recenzyi, rozwijającéj przed oczyma mniéj biegłego czytelnika, ducha autora roztrząsanego; recenzyi usiłującéj dźwignąć literaturę na wyższy stopień (o kilku recenzyach Bandkiego, Lelewela i Brodzińskiego niemówię tu wcale). Roztrząsając dzieło, nie stawiono się na szczycie całéj literatury, z któregoby dzieło owe wskroś przejrzeć można było, i w skutku tego znów zbawiennie na całość literatury oddziaływać; ale raczéj macano grubym palcem po kartach, i gdzie wyraz jaki zadrasnął, wydrapywano go z wiersza i stawiano z urąganiem pod pręgierz opinii publicznéj. To, co mówię, jest gorzkie, ale jest prawdą; gorzkie jest, bodajby było lekarstwem! Kto nie wierzy, że to prawda, niech sobie przypomni, jak po poezyach Mickiewicza plam szukano. Nawet jego wielbiciele, w takim braku wyższéj krytyki, nieumieli go ocenić. Komuż z jego najgorętszych czcicieli postało w głowie, że on jest większym poetą jak Byron, T. Moore, V. Hugo? A obcy najznamienitsi krytycy, krytycy jak Menzel, co samemu Goethemu nie jeden liść z wawrzynu zdarli, choć Mickiewicza tylko z kaleczących tłumaczeń znają, przenoszą go nad tamtych, i wyrzekli, że Mickiewicz jest pierwszym poetą w Europie. To są przyczyny, dla których o Brodzińskim tak mało dziś wiadomo; ten czas przyjdzie jeszcze. Brodziński był nadzwyczaj skromny człowiek. Biedny, niedoczekał się nawet tego, żeby go rozpoznaniem jego wielkiego dzieła uczczono.

W mowie będące poezye narodowe Brodzińskiego, tak są znakomite, że o nich jeszcze niejedno namienić trzeba. Wielu nowszych poetów, powtarzam to, stroili sobie obce figury w żupany, i cieszyli się bardzo, myśląc, że wielkiéj dokazali sztuki. Brodziński zaś do swych narodowych poezyi czerpał, i napój ten czerstwie stawiał w pięknie, na wzór zagranicznego, wyszlifowaném szkle. To jest wielka różnica; różnica, jaka między gienialnością a miernością zachodzi. W skutku jednak tego fortelu stronnicy kordonu warszawskiego, jak go trafnie Mickiewicz nazwał, udobruchali się łatwo, i na Brodzińskiego nikt niepowstał, jak na Mickiewicza, kiedy ten gwałtowną dłonią, z lasów litewskich zabobonem obrosłe piękności wyrwał i ze mchem i brylantami razem, z prostemi kwiatami, na pięknie zastawiony stół biesiadujących poetów Warszawskich wrzucił. Co to był za krzyk! Osiński ze zgrozy oniemiał z razu; Sniadecki teleskopa odstąpił, i wszystko drżało w milczeniu. Tylko młodzież, uczniowie Brodzińskiego, pojęli to zjawisko i z uniesieniem do szału dochodzącém je pozdrowili. Brodziński tak śmiało, jak późniéj występujący Mickiewicz, nie mógł poczynać; gdyby on był nie Wiesława, ale dziady napisał, byłby celu swego nie dopiął. Brodziński wybierał tylko przystępniéjsze umysły, prowadził je na krakowskie łany, i pokazawszy, co się tam piękności dotąd zaniedbanych mieści, pytał skromnie: wszak to szczero-polskie, a czyż nie ładne?

Ow wyżéj namieniony fortel Brodzińskiego tak złudził, że dziś nawet wielu mniema, że Mickiewicz jest pierwszy, co poezyę gminną na parnas polski wyprowadził. Błąd to wielki; krok ten olbrzymi już Brodziński zrobił. Byłem jeszcze małym chłopcem, kiedym raz podczas wakacyi, staremu wojakowi wyrecytował kilka piosnek, których mię matka nauczyła. Starzec słuchając, uśmiechał się i mówił, że zna te śpiewki; sam nie śpiewywał ich nigdy, ale je, zda mu się, w innym pułku u ułanów słyszeć musiał. Jam się śmiał ze starego, bom wiedział od matki, że piosnki te Brodziński napisał w czasach, kiedy porzuciwszy służbę wojskową, na wsi w krakowskiém bawił. Wtenczas nieprzeczuwałem, że w tych słowach wieśniaka, większa pochwała dla Brodzińskiego leży, jak ją którybądź krytyk wyrzec może.

To jednak powolne i nieśmiałe wprowadzanie poezyi narodowéj przez Brodzińskiego, a nadewszystko bezwzględna wyższość Mickiewicza nad Brodzińskim, sprawiają: że **tylko** po głębszém badaniu kolei i ducha naszéj literatury, Brodzińskiego zasługi w takiém występują świetle, jak wyżéj wyjaśnić usiłowałem, i że w istocie rzeczy, obok Mickiewicza, Brodzińskiemu zostaje tylko skromny tytuł Jana Chrzciciela.
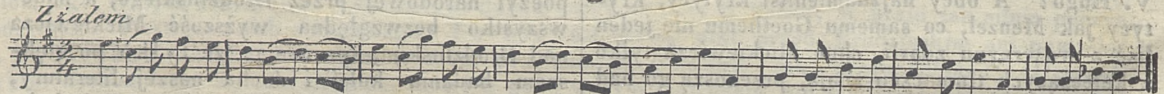
Reszta poezyi Brodzińskiego nosi na sobie chociaż nie oryginalne, ale w poezyi polskiéj nowe zupełnie piętno. Kto zna dobrze poezyą polską dawniéjszą, przypomni sobie, że od Kochanowskiego do Kniaźnina, wszystko w niéj ogranicza się niemal tylko na tak zwykle poezyą opisującą i poezyą uczuć, czyli liryczną. Dla tego w poetach tych, gdzie niema faktów dawnych, urozmaicających swoją treścią, wszędzie natrafiamy też same rulady starych uczuć, po staremu wypisanych. Szczególniéj to w stanisławowskiéj poezyi lirycznéj przebija. Całe pęki pieśni różnych poetów można zmieszać, na jednę nić nasunąć, i wszystkie będą sobie podobne, jak paciorki różańca, tylko się wielkością różniące od siebie. Tu i ówdzie, i to tylko po wielokrótném ich odczytywaniu, można na jakie ulubione wyrażenia, zwroty natrafić, i po tych dopiero autora rozeznać. Tokiem wiersza, wysłowieniem, a nadewszystko pomysłami, wszystkie są sobie podobne, jak liście drzewa. Najbardziéj jednak zbliża je do siebie brak poezyi; mnóstwo bowiem pomiędzy niemi jest to tylko rymem powiązana **proza**. Odéjm im rym, a niebędziesz mógł ich czytać. Niemal jedyną przyczyną tego wszystkiego jest, że się w osnowie przedmiotów branych do poezyi, w ciasnéj zamknięto sferze; jedno tema było przez wielu i wielorako warjowaném, a do owych tematów kilku tylko zagranicznych pisarzy akkordów dostarczyło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Minęło.
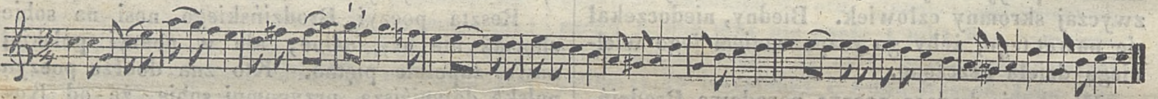
Uroczy kwiecie życia, moich marzeń kwiecie,
W tęskném sercu poczęte, boskich uczuć dziecie,
Pieściłem cię w mych piersiach, w mych myślach,
w snach moich,
W łonie niebiosa czułem; dziś na zgliszczach twoich
Pamięć, lampa grobowa, mdłem światłem migoce,
Żegluje po przeszłości, błyska w jéj pomroce,
I wybladłych już uczuć rozwijając wstęgi,
Surowym wzrokiem patrzy w rozwarte swe księgi.
Marzyłem, zapragnąłem! jako wieszcza oko,
Gdy czerpa żar natchnienia z Przedwiecznego łona,
Wytężyłem duszy méj ramiona
Tak dumnie i tak szeroko,
Żem świat cały ogarnął, do piersi przycisnął,
Jednegom tylko szukał, — nowy świat zabłysnął:
Leją się harmonijne do méj duszy tony,
Dzień czystszém strzela światłem, bo w tworach natury
Odblaskiem swojéj duszy ujrzysz roztoczony
Czy jasny uśmiech szczęścia, czy smutek ponury.
Minęło! Cóż nie minie w ziemskiém sercu ludzi?
Przyjaźni uniesienia, kochanków zapały,
Żądze młodości, dni promienne chwały,
Goryczy jad napełni, rozgryzie, wystudzi.
Głód duszy cię wytrawi, zmorduje nadzieją,
Wszystko, co świętém znałeś, ujrzysz w poniewierce;
Z uczuć kłamanych śmiéj się, jak ludzie się śmieją,
Choć ogień ci przepala łatwowierne serce.
Boleść wrośnięta w duszę, ta tylko nie minie,
Bo choć duch twój zewlecze ubiór tego świata,
Przed Bogiem świadczyć będzie przepłakane lata,
I nowém życiem darząc, do wieczności spłynie.

Pieśni gminne.



Oj, żeby to tak mogło być;
Ożenić się, nie robić!

Ale to tak być niemoże,
Trzeba robić, o mój Boże!
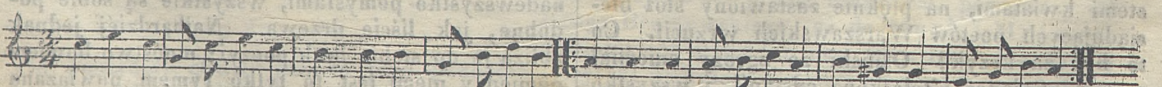


Oj uboga ja sieroteczka,
Niemam korali, korali;
Moja matka wyrobnica
Nie sieje roli, da roli.

Oj uboga ja sieroteczka,
Niemam pierzyny, pierzyny;
Oj już ja się nie ożenię,
Boże jedyny, jedyny!

Oj pójdę ja do Kujaw,
Oj będę hulał, da hulał;
Pojmę sobie Kujawiankę,
Gdyby ją ulał, da ulał.

Oj jak pójdziesz z karczmy do dom,
Trąćże mnie nogą, da nogą;
A ja się też domiarkuję,
Pójdę za tobą, za tobą.

Trzymała się Kasia wierzby,
Tak się bujała, bujała;
Wierzba pękła, Kasia brzękła,
Aż się rozśmiała, rozśmiała.



Oj do téj Kasiu, do téj,
Coto ma pierścień złoty;
Mać ona i korale,
A zęby jak szynale.

A ty koniu masłowaty
Niewieźże mnie do bogatéj;
Bo bogata pyszna żaba,
A uboga będzie rada.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)